

KONRAD KOMORNICZAK

**„LISTY NIGDY
NIEPRZECZYTANE”**

Rok 1932, podobnie jak lata poprzednie i jak też wydawało się lata, które miały po nim nadejść zapowiadał się absolutnie normalnie. Żadne znaki na niebie i ziemi nie wskazywały na zmiany jakiegokolwiek, a co dopiero zmiany rewolucyjne. Życie toczyło się z dnia na dzień, z godziny na godzinę, z minuty na minutę układając się w monotony ciąg codziennych zajęć, niekiedy tylko przerywanych zdarzeniem nieoczekiwanym, z których za najciekawsze uznać można drobne kradzieże sklepowe czy mezalianse dostojników krążące w charakterze plotki po miejskich targach. Owszem w jednej ze sfer niemieckiego życia wrzało. Nic jednak dziwnego, gdyż w polityce trwa nieustanna walka nawet w czasie pokoju, a parlament jest chyba jedynym miejscem, które nie znosi ustatkowania i harmonii. Ciągłe spory polityczne, walka o władzę oraz wpływy, próby podważenia dokonań obecnych rządzących i skierowane w przeciwną stronę ataki na opozycję zawsze podgrzewają publiczne dysputy, tym samym dając zwykłym, szarym obywatelom temat do rozmów. To zjawisko jednak także specjalnie dziwić nie mogło, ponieważ w każdym z europejskich państw podobne igrzyska polityczne się odbywały, są bowiem wpisane w codzienność, a dla pamiętających jeszcze pożogę I wojny światowej obywateli wydawały się tylko błahymi pyskówkami, niczym w porównaniu z czasami walk. Zresztą jak dobrze wiadomo świat rządzących jest niemalże osobną społeczną kastą...wszyscy kłócą się o to jak sprawić, aby narodowi żyło się najlepiej w efekcie samemu czerpiąc największe korzyści. Sklepiarze, fryzjerki, szeregowi urzędnicy z tych całych waśni w swoim życiu dostrzegają jedynie kilka stron zapisanych w lokalnej gazecie, a żyje im się wciąż tak samo.

Dla rodziny Hülmann'ów rok ten jednak mimo wszelkich towarzyszących okoliczności miał okazać się przełomowym. Pan Adam Hülmann - głowa rodziny, otrzymał intratną propozycję przejęcia lokalu w Berlinie przy Wilhelmstraße po zmarłym stryju. Wiele lat mieszkał i pracował w Heidelbergu jako piekarz. Niestety nigdy nie miał okazji działać na własną rękę, zawsze pozostawał jedynie wykonawcą zaleceń swego pracodawcy i skądinąd przyjaciela - Wilfrieda Wolfa. Nie wahał się zatem opuścić rodzinnego miasta, starych przyjaciół i podjąć wyzwania w obcym sobie środowisku. Wizja własnej piekarni i to nieopodal głównej arterii miasta - Unter den Linden kusila aż nadto. Do inicjatywy zapaliła się także cała rodzina i mimo sporej przecież odległości między obu miastami niemal natychmiast zdecydowała się wyjechać. Nie było bowiem, poza sentymentalnymi oczywiście, innych racjonalnych przesłanek, by w Heidelbergu zostać. Syn - Jozue już dawno opuścił dom, by studiować matematykę na Uniwersytecie w Bremie, sześćoletnia Sara właśnie osiągnęła wiek szkolny, sprawą drugorzędną zatem był fakt czy podejmie naukę w Berlinie, czy w rodzinnym Heidelbergu. Państwo Hülmann natomiast wkrótce mieli ukończyć lat czterdzieści, będąc więc jeszcze w sile wieku, marzyli, by się wreszcie uniezależnić, znaleźć własne miejsce, a Berlin taką możliwość oferował. Wspólny zapał i długie, wieczorne narady sprawiły że trójce spośród Hülmann'ów już tydzień po otrzymaniu depeszy o śmierci stryja Alfreda siedzieli w pociągu na walizkach mieszczących dorobek całego życia...kierunek był tylko jeden - stolica.

Po przybyciu na miejsce euforia nie minęła. Wszyscy ze wzmocnionym wysiłkiem starali się doprowadzić zrujnowany przez poprzednich użytkowników lokal. Stryj, gdy żył, sam z niego nie korzystał a jedynie podnajmował rzemieślnikom, kupcom prowadzącym niekiedy szemrane i nie do końca legalne interesy. Jak widać było po zastanych wnętrzach jego zainteresowanie tym miejscem ograniczało się do ściągania należnego mu czynszu i to z całą pewnością nie osobiście, a przez pośrednika. Gdyby wiedział jak użytkowana jest jego własność, zmarłby niechybnie wcześniej na atak serca, jako że z natury miał pedantyczne usposobienie (cechę tę można by wraz ze skrupulatnością i żylką do interesów przypisać do żydowskiego pochodzenia, jednakże w jego wykonaniu wykraczały one dalece nawet poza przyjęte w społeczeństwie stereotypy). Pracy nie

brakowało zatem na wiele miesięcy, gdyż oprócz zdewastowanego miejsca przeznaczonego pod zorganizowanie piekarni należało jeszcze wyremontować będący w nieco tylko lepszym stanie aneks mieszkalny. Oto jak ten gorący okres opisuje (wkrótce po zapoznaniu się z alfabetem i opanowaniu sztuki pisania) do swego brata w jednym z listów mała Sara:

Berlin, 20 września 1932 r.

Drogi braciszku,

bardzo dziękuję za lalkę, którą przysłałeś mi na urodziny. Po tym jak się przeprowadziliśmy do Berlina ona jest moją jedyną i najlepszą przyjaciółką. Poznałam kilka koleżanek, ale nie wiem, czy się z nimi zaprzyjaźnię na dobre. W szkole mi się podoba, jak widzisz już nauczyłam się pisać. Czytam trochę gorzej ale mama obiecała mi pomóc jak tylko skończymy szykować sklep. Tata mówi, że to już niedługo, ale ja się trochę o niego boję. Tyle pracuje, że czasem nie ma siły zjeść obiadu, nawet jak mama ugotuje jego ulubioną zupę. Już nie mogę się doczekać kiedy nas odwiedzisz. Pozdrawiam ciepło razem z rodzicami.

Sara

Te z początku koślawe i niewyraźne litery z biegiem czasu przerodziły się w kształtne i zgrabne pismo, a wysłany okazjonalnie, dla sprawdzenia własnych umiejętności zdobytych w szkole list, w regularną korespondencję. Zapisy całych dni i opowiadanie zdarzeń, które przytrafiły się obojgu rodzeństwa scaliły rozłączonych przez kilometry dzielące Berlin i Bremę brata oraz siostrę. Co więcej, oboje mogli sobie bezgranicznie ufać, a żelazną zasadą, która między nimi obowiązywała było odpisywanie na listy. Jedno i drugie bowiem wiedziało, iż daleko od niego ciałem, lecz blisko duchem, siedzi ktoś i czeka niecierpliwie na ciepłe słowa.

Tak zrodziła się niepowtarzalna więź między Sarą - małą dziewczynką wkraczającą bardzo powoli na ścieżkę dorosłości i dorosłym już prawie Jozuem, który coraz lepiej orientując się w otaczającej go, zmieniającej się na niekorzyść rzeczywistości coraz częściej do błogiej nieświadomości dziecka chciałby powrócić. Sytuacja ta wyniknęła bardzo nieoczekiwanie i wpływ na nią miały chyba zaistniałe okoliczności, gdyż rodzeństwo to nigdy się zbyt nie lubiło. Co więcej starszy Jozue zawsze dokuczał siostrze, za co ta nierzadko żywiła do niego głęboką urazę (potrafiąc się nie odzywać niekiedy całe dwa tygodnie w poczuciu wyrządzonej krzywdy). Rozłąka jednak i konieczność obcowania w nowych sobie miejscach, z nowopoznanymi ludźmi zadecydowała o takim rozwoju zdarzeń.

Remont pomieszczeń przy Wilhelmstraße potrwał znacznie dłużej niż zapewniał o tym ojciec Sary, jednakże wszystko dzięki nadludzkiemu wysiłkowi obojga rodziców było gotowe i czekało na uroczyste otwarcie. Imprezę zaplanowano na 27 listopada, a więc dokładnie w dwa miesiące po przybyciu do Berlina. Wnętrza pięknie odmalowane i pachnące świeżością napawały dumą Adama, który mimo zapadniętych nieco policzków, podkrążonych po nieprzespanych nocach oczu i zdartych dłoni zdawał się chodzić teraz nad wyraz wyprostowany z głową uniesioną w geście podziwu. Przyjęcie swoją obecnością uświetnili zarówno krewni z samego Berlina, jak i z miejsc o wiele odleglejszych np. kuzyn Aaron z Lipska czy ciotka Judyta z mężem i dwójką dzieci aż z Saarbrücken. Całość trwała do białego rana, a zebrani goście doskonale bawili się przy suto zastawionych stołach, nie szczędząc przyniesionych przez gospodarza butelek doskonałego reńskiego wina. Imprezę zwieńczono odsłonięciem stalowej tablicy z wygrawerowanym, złotym napisem: "Hülmanns Bäckerei". O tak wielkim wydarzeniu musiała napisać Sara swemu

bratu...bolejąc jednak nad faktem, iż radosne wiadomości musi przekazywać mu listownie. Jozue zagoniony natłokiem zajęć na uczelni nie był w stanie przybyć na rodzinną uroczystość.

Berlin, 28 listopada 1932 r.

Drogi Jozue,

żałuję, że nie mogłeś przyjechać na otwarcie sklepu, tzn. otwarcie będzie dopiero w poniedziałek, ale to dla klientów, a to było takie nasze otwarcie. Mamy nawet swoją własną tablicę ze złotymi literami Hülmanns Bäckerei. Wszystko jest takie cudowne i nowe. Zabawa była naprawdę udana, szkoda że musiałam iść tak wcześnie spać, ale z mojego pokoju słyszałam śmiechy i rozmowy. Wszyscy chyba trochę za dużo wina wypili, ale w końcu przy takiej okazji...a mnie w tym czasie nikt nawet nie pilnował i znalazłam pudełko z czekoladkami...zjadłam całe. Poza tym u nas wszystko w porządku, rodzice już nie są tacy zmęczeni, tata też chodzi jakiś bardziej wesoły. Czasem tylko syknie coś pod nosem, ale to jak słyszy to co mówi ten człowiek z wąsem, co jest na plakatach w całym mieście...kupiliśmy radio i właśnie jak tego radia tata słucha to czasem syknie...ale to chyba nic strasznego...bo jak go pytam o co chodzi to mówi, że tak czasem trzeba i że to dobre dla zdrowia czasem się złościć, więc ja chyba też zacznę, bo też chcę być zdrowa. Czekamy na Ciebie w domu. Całuję.

*Twoja siostrzyczka
Sara*

Od momentu otwarcia sklepu dla klientów (rzeczonego poniedziałku) życie Hülmann'ów zaczęło układać się jak bajka. Interes dzięki doskonałej jakości wyrobów, a także bliskości miejsc spacerów i wypoczynku berlińczyków przynosił krociowe zyski. Wieść o nowej piekarni i jej sympatycznych właścicielach rozeszła się jak błyskawica po mieście. Już wkrótce zarobione pieniądze pozwoliły panu Adamowi zatrudnić pomocnika i zwiększyć produkcję. Na popularności zakładu ojca zyskała również Sara, do której teraz koleżanki i co bardziej śmiali koledzy podchodzili w szkole usiłując się zaprzyjaźnić. W ten właśnie sposób poznała swoją najlepszą przyjaciółkę Ulę Heinze, z którą jak się to miało okazać los połączył ją na długie lata. Od tej pory zawsze chodziły, bawiły się, śmiały się i rozmawiały we dwie. Sytuacja zatem wydawała się godna pozazdroszczenia, a mimo tego jednak w ostatnim czasie Adam Hülmann posmutniał...wydawał się ciągle zamyślony, a upust swoim problemom dawał w nocnych rozmowach z żoną, co dziwne prowadzonych przyciszonym głosem i tak, by nie słyszała tego ich córka. To co dużo wcześniej wychwytiło czułe oko Sary stawało się faktem. Ojciec miał wyraźny problem, a były nim, czego już niespełna siedmioletnia dziewczynka wiedzieć nie mogła, zbliżające się wybory do Reichstagu, a dokładniej startująca w nich skrajnie nacjonalistyczna partia pod przywództwem "człowieka z wąsem" - Adolfa Hitlera - NSDAP (Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei). Nieraz słyszał w radiu i na wiecach jego zwolenników głośno wykrzykiwane hasła antysemityczne i poglądy o czystości rasy. Na początku śmieszyło go to, wydając się absolutnie niedorzecznym, później jednak rozbawienie przerodziło się w niepewność, a ta dalej w lęk. Lęk tym większy, iż niebezpieczeństwo było jak najbardziej realne. W kraju pogrążonym w kryzysie finansów, gdzie szerzy się bezrobocie i rozprzestrzenia ubóstwo bardzo łatwo o zyskanie audytorium dla populistycznych poglądów i wszelkiego rodzaju radykalnych postaw. Adam nie widziałby w tym nic złego gdyby poglądy te nie były skierowane w społeczność żydowską, a więc także w jego rodzinę i w niego samego.

Wkrótce jednak stało się to co się stać musiało. NSDAP w wyniku wyborów dostało się do Reichstagu zajmując w nim blisko 1/3 miejsc. W konsekwencji, w styczniu 1933 roku Adolf Hitler został kanclerzem, przejmując ostatecznie władzę w państwie. Adam Hülmann zapamiętał ten dzień bardzo dobrze. Cieszący się z sukcesu członkowie partii przeszli triumfalnie niczym pochód wojska ślepo wpatrzonego w swego generała przez całą ulicę Unter den Linden i dalej przez Bramę Brandenburską. Towarzyszyły im czerwone flagi ze znakiem swastyki...znaku, który historia miała obarczyć największymi zbrodniami jakie widział kiedykolwiek świat. Skojarzenie piekarza natomiast z wojskiem oddanym swemu Führer'owi (przewodnikowi) miało okazać się nadzwyczaj trafne. Od tego czasu zarówno pan Hülmann jak i jego żona żyli w przeświadczeniu, że represje muszą nadejść. Obawiali się utrudnień w prowadzeniu sklepu, czy też uprzykrzania życia ze strony niemieckich urzędników. Scenariusza, który miało napisać samo życie nie spodziewali się na pewno! Oto jak o pierwszych kłopotach rodziców i sytuacji po wyborze Hitlera na kanclerza opowiada Sara:

Berlin, 18 marca 1933 r.

Jozue,

nie wiem co się dzieje, ale wolalabym żebyś przyjechał do domu, może Tobie rodzice coś powiedzą. Ostatnio mama z tatą w ogóle nic nie mówią, cały czas tylko siedzą i myślą. Niedawno tatę ktoś napadł i próbował pobić podczas spaceru, na szczęście tata jest silny i dał sobie radę. Do piekarni bardzo często przychodzą panowie w mundurach z takim dziwnym znakiem, chyba po to żeby złapać tych bandytów co napadli tatę, ale pytają o naszą rodzinę, o wujka, ciocię, nawet o Ciebie pytali. Zupełnie nie wiem po co. Mama zabroniła mi z nimi rozmawiać. Pamiętasz jak pisałam, że Berlin mi się podoba. Już nie! Wszystko jest takie szare i wszędzie pełno tych ludzi w mundurach...widziałam raz nawet jak oni bili jakąś kobietę. Może coś ukradła, ale ci panowie nie powinni tak robić...to było okropne. Przyjeżdż jeśli tylko możesz.

P.S.

Porozmawiaj z tatą o tym panu z wąsem. On ciągle jest zły na niego i nie wiem za co bo ten pan przecież na zdjęciu wygląda całkiem sympatycznie...a tata często mówi na niego tak brzydko. On teraz podobno rządzi, ale Ty już to pewnie wiesz, bo wy na uniwersytecie jesteście tacy mądrzy.

Sara

Wizyty policji, ludzi z NDSAP czy też z SA (Sturmabteilungen) faktycznie stawały się coraz częstsze i bardziej uciążliwe. Wypytywali o połączenia rodzinne Hülmann'ów. Chcieli wiedzieć, gdzie mieszkają wszyscy członkowie rodziny, czym się zajmują, ile mają dzieci, chcieli wiedzieć po prostu wszystko. Nie byli przy tym uprzejmi i mili jak urzędnicy proszący o pomoc swych obywateli, ale wręcz nachalni, wrogo nastawieni. Odzywali się lekceważąco, z kpiącym uśmiechem na twarzy niejednokrotnie grożąc i pokrzykując pogardliwie JUDEN! Nie byli to wcale ludzie źli ze swego usposobienia, ale po prostu ślepo wierzący w ideologię przekazywaną im przez Hitlera, posłuszni jego rozkazom. Nieraz zdarzało się, że oficerem przychodzącym na kontrolę do piekarni był człowiek, który jeszcze do niedawna, dzień w dzień przychodził rano po bułki witając pana Adama ciepłym uśmiechem i skinieniem głowy. Odnosząc się zatem niegdyś jak do człowieka teraz widział w nim tylko Żyda (co w czasach faszyzmu uznać można było za najbardziej pejoratywne określenie) - wg ideologii nie człowieka, a podczłowieka, istotę niższego

gatunku. Do takiego traktowania musiała powoli przyzwyczajać się rodzina Hülmann'ów, co też z niezwykle trudnym, ale jednak czyniła. Swoje problemy z nowym porządkiem miała także Sara. W trudnych dla siebie realiach i przy nieprzychylniej opinii społeczeństwa dziewczynka nawet jeśli nie chciała i nie zdawała sobie z tego sprawy, musiała dojrzeć emocjonalnie wcześniej niż jej rówieśnicy.

Berlin, 7 maja 1936 r.

Drogi Bracie,

policja przychodzi do nas już niemal każdego dnia...często krzyczą na mamę i tatę, tak że czasem nie chce już tego słuchać. Wtedy zamykam się w swoim pokoju i płaczę. Rodzice cały czas mówią mi że nic się nie dzieje, ale ja przecież nie jestem taka głupia i widzę, że coś jest nie tak. Ostatnio z mamą chodzimy na drugi koniec miasta po zakupy, bo w sklepach w pobliżu domu nic nie możemy kupić. Na drzwiach są kartki, że Żydom wstęp wzbroniony. Tego nie rozumiem już zupełnie. Czy my im coś zrobiliśmy. Nie dalej jak miesiąc temu takich problemów nie było, a teraz wszędzie to samo. Tu nie wolno, tam nie można, dlaczego? Nawet koleżanki w szkole ostatnio się do mnie nie odzywają...oczywiście Ula (ta o której już pisałam) tak, tylko ostatnio jej tata też nie pozwala wychodzić jej na podwórko bawić się ze mną. Jej tata też jest w tej partii, ale to chyba dobrze, bo pamiętam że zawsze był miły, wolałabym żeby to on przychodził do nas do sklepu. Napisz proszę co się dzieje i co wtedy powiedział Ci tata. Mam już 10 lat, nie chcę być dłużej małą, głupią dziewczynką.

Sara

...przekaż pozdrowienia całej rodzinie, bardzo was wszystkich kocham. Uważajcie na siebie, tak jak ja uważam na siebie. Pamiętaj jednak, że cokolwiek by mi się przytrafiło Twoje listy będą miał zawsze przy sobie. One zawsze poprawiają mi humor, więc w razie potrzeby pomogą mi przetrwać najtrudniejsze chwile. Przyjadę jeśli tylko będę mógł...obiecuję.

*Twój na zawsze
Jozue*

Wszystko to bardzo przytłoczyło Sarę i zmieniło jej pogląd na ludzi, którzy ją otaczali. Następne miesiące spędzała raczej sama lub też jeśli zgadzał się na to pan Heinze, z Ulą. Bała się już nawet kolegów i koleżanek z klasy, ogarniał ją wstręt, gdy miała z nimi rozmawiać wiedząc co robią ich rodzice jej rodzinie i setkom innych zupełnie niewinnych ludzi. Tak mijały kolejne lata przepełnione goryczą i smutkiem. Dziewczynka dojrzewała w poczuciu bezsilności i niepokonanej nienawiści do Niemców...tych aryjskich w szczególności. Blondwłosi, niebieskoocy, wysocy - dlaczego oni mają być od nas lepsi? Dla osoby wrażliwej, przyjmującej za miarę oceny człowieka jego cechy charakteru i zachowanie było to sprawa nie do przyjęcia. Najgorsze jednak lata miały dopiero nadejść, ale w świecie, w którym bije się i poniża nawet osoby chore, kobiety, czy dzieci nic wydawało się już nie dziwić...stało się inaczej.

W nocy z dziewiątego na dziesiątego listopada 1938 roku rodzinę Hülmann'ów zbudził brzęk tłuczonego szkła i duszący dym wydobywający się ze sklepu. Nieznani sprawcy ograbili,

zdeprawiali i podpalili piekarnię pozostawiając po sobie oprócz licznych zniszczeń gwiazdę Dawida wymalowaną na drzwiach. Jak się później okazało dokonali tego faszyci i to nie tylko w sklepie pana Adama, ale także we wszystkich niemal zakładach należących do ludności semickiej. Tak oto w ciągu jednej nocy ogień strawił pracę wielu miesięcy i marzenia na spokojną przyszłość. O tym natomiast, że wypadek "kryształowej nocy", nazwanej tak od odgłosu tłuczonych szyb wystawowych, nie był ukoronowaniem represji a jedynie ich spektakularnym początkiem przekonali się zupełnie niebawem, gdyż już następnego ranka. Oficerowie SS przybyli na miejsce zdarzenia mieli ze sobą nakaz przejęcia sklepu. Nikogo nie pytając o zgodę wtargnęli do mieszkania wrywając Hülmann'ów ze snu. Obydwu rodziców Sary zaaresztowano, miała już nigdy ich nie zobaczyć. Dziewczynka natomiast widząc z pokoju co dzieje się w domu przez okno uciekła na podwórko i stamtąd dalej do domu jedynej przyjaznej sobie osoby - Uli. Nie myliła się - ojciec Uli był dobrym człowiekiem, przyjazną wyspą na morzu zła.

Przetrwała w domu swojej przyjaciółki jeszcze rok, by później wraz z jej uciekającą rodziną (ojciec próbował odciąć się od faszystowskiej przeszłości zanim dojdzie do zupełnej tragedii) przenieść się do Stanów Zjednoczonych. Pisała o wszystkim bratu, o nieszczęściu, tragedii, która spotkała rodziców. Pisała i czekała...list zwrotny jednak nigdy nie nadszedł. Nie przestała jednak tego czynić. Napisane listy chowała do szuflady, wierząc że nadejdzie czas, w którym odda je Jozuemu.

Sara podobnie jak setki tysięcy Żydów zamieszkujących faszystowskie Niemcy nigdy nie poznała miejsca kaźni swojej rodziny, nie tylko matki, ojca, brata, ale także wujów, ciotek i kuzynostwa. Symboliczne miejsce pochówku urządziła na berlińskim cmentarzu po powrocie z USA do Niemiec w 1991 roku. Pod nagrobną płytę z wyrytymi imionami podczas ceremonii zakrycia pustego grobu wsunęła związane sznurkiem koperty. Płakała przy tym, trzymając za rękę swoją najlepszą przyjaciółkę. Oddała tym samym berlińskiej ziemi to co miała najcenniejszego - część siebie, swoich łez i cierpień, swych radości, część wreszcie każdego z bliskich, których zachowała głęboko w sercu i w pamięci. Oddała symbol bezsensownej wojny, ludzkiej nietolerancji znak krzywd i pojednania...oddała nigdy nieprzeczytane listy.